№ 23.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 8. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Mimo prześladowań tamujących myśl, a tém samém ścieśniających wiedzę ludzką, ta jakby na przekorę się rozprzestrzenia, czego dowodem wzrastająca z każdym dniem liczba piszących; a że ich dzieła rozkupują, widać iż i czytanie staje się co raz większą potrzebą. Lecz jak można użyć napoju, który zamiast posiłku sprowadza niemoc ciała, tak można postąpić i z pokarmem dla ducha. Mężczyzni odbierając systematyczne wychowanie, są jakby za rękę wprowadzani w świat intelektualny, ale u kobiet któż się do dziś dnia o to troszczy? przynajmniéj nie u nas — ich wychowanie prawie jest mechaniczne. Lecz że wiedza ludzka silnie wzrasta, i komu tylko uchylono zasłonę postępu i nie zepchnięto go całkiém za koło, gdzie dochodzą promienie słońca oświaty, a z przyrodzenia jest więcéj aniżeli machiną jedzącą i chodzącą, ten uczuje potrzebę, przylewania do swych myśli i uczuć, myśli i uczucia drugich, do czego najkrótszą drogą są książki.

W ukształceniu kobiety czytanie niewątpliwie o wiele większą gra rolę niż u mężczyzny, bo dla niéj zgłoski martwe — drukowane, muszą zastępować żywe słowa, które nauczyciele po szkołach i uniwersytetach rzucają w umysł ucznia. Mężczyzna czytaniem dopełnia tylko swego ukształcenia, kiedy kobieta od czytania je poczyna. Nie jest naszym zamiarem chcieć z kobiet porobić profesorów i poddawać im katedry, lecz jedynie zwrócić uwagę, jak mają wstępować w świat zamknięty w książkach, w ten świat zrodzony z ducha ludzkości i odbijający życie rzeczywiste. Pisząc to mamy głównie na myśli młode czytelniczki, bo kto już do czczego czytania przez wiele lat nawykł, dla tego treściwa książka ma skutek opium.

Wstępująca zaś w świat książkowy, przychodzi tam z myślami jakby z wosku, na których odlewają się pojęcia podług schwytanych wrażeń, i tak na zawsze twardnieją. Nie od samych więc lekkich rzeczy trzeba poczynać, lecz wziąść się do czytania, treściwego — nauczającego, a myśl z łatwością, nawet z przyjemnością przywyka do pracy, i mając podstawę, patrzy treści a nie saméj formy — umysł się rozjaśnia, w ideale nie szuka marzenia lecz wyższéj prawdy, i uczy się z istotnego stanowiska na świat spoglądać.

Nie rozumiemy tu przez to żeby się kobiety miały jąć koniecznie dzieł mozolnych, na pół od moli przegryzionych; takie księgi mało wybranych na świecie znajdują i to po części tych tylko, co przyjmują kapłaństwo uczonych, a w teraźniejszym składzie społeczeństwa kobieta nie jest przeznaczoną do ich grona. Ale umysł który w czytaniu nawykł się tylko bawić, nie wyciągnie nigdy cząstki posilającéj dla swéj duszy, i nabędzie smaku pożywania samych łakoci literackich, które oprócz czczych marzeń innego skutku nie przynoszą. Przywiedźmy sobie na pamięć którą z tych czytelniczek, co przynajmniéj już dziesięć lat swego życia przewartowała nad dziełami — Balzaca — Sue — Kocca — i podobnych Francuzów, a mimo tak mnogiego czytania zadziwiamy się nie raz nad ich małém wykształceniem, fałszywym sądem w najprościejszych rzeczach, jakimś ckliwém unoszeniem się nad lada drobnostką, kiedy w przedmiotach obchodzących całą ludzkość, mają jakby

skamieniałe serca i głowy całkiem zakute. Nie uważamy tych dzieł za owoc zakazany, lecz jedynie jako cukierek literacki, który dobry jest do przejedzenia po posilającym pokarmie, ale nie żeby z niego czerpać siłę całą dla ducha.

Przyzwyczajając zaś umysł przez czytanie do gruntownego myślenia, nadaje mu się razem pewną podstawę i zdrowy sąd w przedmiotach życia codziennego, ucząc się szukania prawdy zbudza się w sercu chęć podnoszenia i umiłowania całéj ludzkości, i cel swego przeznaczenia, wypełni się z łatwością bez sarkania.

Obrazki i szkice.

Sie haben mich geärgert
Gequälet blau und blass,
Die einen mit ihrer Liebe,
Die andern mit ihrem Hass.

I.

Raz byłem w wielkim kłopocie... zabrakło mi spółcześnie pieniędzy i — dowcipu. Pieniądze miewał człowiek kiedy niekiedy — a choć wcale skromnie obdarzała mnie fortuna swojemi łaski, kiedy było, to się używało, jak gdyby całéj Ameryki miny czekały na moje zawołanie. Co się tycze dowcipu — boję się, abym nie obraził własnéj skromności — ten nawiedzał mnie rzadko i ubogo darzył. Czyli mówiąc po prostu: ponieważ sam o sobie mówię, więc nie chcę wyraźnie powiedzieć i daję wam tylko do zrozumienia — że na dowcipie nigdy mi nie zbywało, i miałem go tyle, że mogłoby się nim jeszcze ze dwóch koleżków obdzielić. Uważałem, że los jest zawsze sprawiedliwy. Czy to było faktum wskazujące, że kiedyś wyrosnę na filozofa, czy też wprost dobrotliwość wrodzona mi — nie wiem, ale to pewna, że uznawałem konieczność rozumną w biegu żywota, co się mianowicie tém w méj świadomości potwierdzało, że kiedy miałem pustą kieszeń, wraz dostawałem zapchania głowy, od szczerozłotych — nie luidorów, lecz dowcipnych myśli — i odwrotnie w miarę, gdy się w głowie pusto robiło, napełniał się worek. — Ztąd poszło bardzo gospodarne życie moje...; kiedy chciałem zabłysnąć dowcipem, wydałem pieniądze moje do ostatniego grosza — Bóg wie na co; a kiedy jeść mi się zachciało, deszczem dowcipów zalałem ziemię, i nieszczęsnych ludzi, których zmuszałem, aby mnie słuchali — a tak zubożywszy głowę, czekałem chwilkę, i oto, zaraz zkądsiś brały się podsady materyalnego bytu człowieka.

W czasie, o którym spomniałem, doznałem bardzo wielkiego zawodu.... Chciałem się gdzieś popisać z górnolotnością mojego umysłu, — na ten cel wszystkie moje pieniądze rozrzuciłem; — nazajutrz w najlepszéj myśli czekałem, rychło się dowcip w głowie méj zbudzi. Ale ten przeklęty figlarz milczał i milczał. Nie miałem za co obiadu zjeść, głód mi doskwierał — a tu Lessel, Lours, Torio, tak ironicznie ciastkami i cukrami wyśmiewali się ze mnie, gdym się przechadzał wzdłuż i w szerz Warszawy, czekając na mój dowcip, opóźniający się z przybyciem. Czekałem napróżno. Okropność mojego położenia była nie do opisania — suchoty mózgu i kieszeni!!! Pomyślcie tylko!

Było to jakoś w jesieni — mgła — wilgoć — moja stancya nie opalona — a głodno, — a żadna myśl dziarska — nie grzeje, ni otuchy nie dodaje.... W domu wysiedzieć niepodobna, chodzić też nie można — idę więc na wieczor — i to na wieczor literacki. Właśnie poniedziałek — pani Nina przyjmuje — dadzą herbaty i trochę ciastek — salonik jéj opalony — będzie mi ciepło. Na sercu było mi wtenczas jak Werterowi, kiedy rozczulał się nad rzewnym sposobem nałożenia masła na chleb — wesoło a jednak smutno, ciężko a jednak błogo. Samowar i ciepły salonik naprzemian przed oczami ducha mego stawały — istnie postać sztyletu w Makbecie, i jako niegdyś tego zbrodniarza ku zabójstwu, tak mnie teraz wiodły ku wieczorowi literackiemu. Nowy Świat przebiegłem pędem Farysowego rumaka, i podobno też wołałem: „pędź mój koniu wiatronogi“ — choć parsknął koło mnie idący jakiś poczciwiec, zapewne dla tego, że ja piechotą dążyłem. Prostaczek! on nie wiedział, że ja przez mgły i błota kupy, na myśli méj rumaku pędzę, pędzę — niczém niewstrzymany!! Ach! widział mnie, a nie pojmował!!

Stanąłem nareszcie przed Kopernikiem! pędem strzały wpadam — do pani Niny!

— Jak się pan ma?

— Dobry wieczor!

— Comment vous portez vous?

— Ah! charmé de vous voir!

— Ej! dobry wieczor kochany przyjacielu!

— Wieki cię nie widziałem!

O! tysiące takich formułek wysypano na mnie z każdéj strony — ale ja zziębnięty, zgłodniały! — dreszcz mnie przechodzi, chłód i mgła wionie w koło mnie!

Wszyscy jęli po przywitaniu pytać, czemu jam bez płaszcza! — mogli się byli domyślić, że płaszcza nie mam, ale snać zabrakło im domyślności!

— Jak to? — pyta młoda pani — vous tremblez — vous avez des frissons!

— N'êtes vous pas malade?

— I czemu to się pan lepiéj nie opatrzył? — za zimno!

— Mgła, wilgoć, to przejmuje — nie dobrze chodzić bez płaszcza!

Na dwadzieścia cztery pytań ciężkoć dać jednę odpowiedź — zacząłem więc długo prawić, dowodząc, że to bardzo zdrowo przeziębnąć, a co większa wielce przyjemnie!

Ledwiem skończył, nowy kłopot. Pani Nina (gospodyni) przychodzi i prosi, abym zaimprowizował co. Tego tylko niedostawało, aby mnie dobić! — A czyż tu mało poetów, powieściarzy, uczonych! i zgoła wszelkiego gatunku, płci i wieku literatów, abym ja miał — aż ja maluczki improwizować!

— Brawo! brawissimo! zagrzmiało ze wszech stron.

— Prześliczny początek! — rzekł pan Antoni, i z wrodzoną sobie przenikliwością dodał: Uważmy, będzie to na całą literaturę warszawską krytyka, pełna subtelnéj ironii!

— Istotnie — odpowiedział Franciszek, będzie to ironia subtelna!

— Ale jak zainteressował nas pan *** tym rozpaczliwym tonem swojego zaczęcia! — rzekły jakieś anielskie usteczka — co to za głębokie pojęcie w akcencie i głosie! co za sutość w myśli! obraz to mistrzowski będzie warszawskiej literatury, gdy tak cudny początek, gdy już tyle mówi pierwsze pociągnięcie pędzla! Ach! jak pięknie!

Niechcący zostałem wielkim człowiekiem — ja ani myślałem o zaczęciu jakiéjś tam improwizowanéj krytyki, a tu za nię już mnie wszyscy chwalą i wielbią. Co tu począć? jak postąpić? — ha! prosta droga najlepsza! — daléjże ja więc prawię:

— Łaskawe panie! i wy panowie! jako żywo, ani mi się śniło, aby...

A oni tu znowu w śmiech, i wołają: brawo! brawissimo! wybornie!

To mnie zniecierpliwiło. — Ależ nie żartujcie sobie!

— Ha! ha! ha! hi! hi! hi! — cichutko odbiło się wszędzie — i ciche podszepty: jednak ten człowiek tak żywy ma dowcip, choć pisze tak nudnie!

Już tego niepodobna było wziąć za pochlebstwo. Com chciał wyłożyć, że nie chcę improwizować, to oni myślą, że ja już improwizuję, i wielbią mnie — gdy chcę milczeć, wszystkie kobiety jednym chórem zagrają: prosimy! prosimy! mów pan — a mężczyzni basem wtorują: niedaj się prosić! czekamy twéj mowy wszyscy!... — Widzę, że teraz końca nie będzie, a więc improwizować muszę.

— Szanowni słuchacze! proszę o bezwzględne milczenie....

Tu nie stało mi myśli — po chwili dodałem:

— I o grobową ciszę.

No, co tu im mówić daléj — co tu mówić! ani jednéj myśli! Ha! brnijmy daléj — trzeba powiedziane słowa rozwinąć, trzeba je w szaty poezyi przybrać.

— Albowiem jest rzeczą jasną jako słońce, że głos mówiącego w zgiełku rozumianym być nie może, gdyż miesza się dźwięk mówiącego z innemi dźwięki i niknie, przekształca się — tak jest i tak być z koniecznych praw natury zawsze i wszędzie musi.

Peryod udał mi się ślicznie! zabiłem chwil kilka — i daléj już na dobre improwizować — ku chwale Pana Boga, a zbudowaniu wiernych, — a szczęśliwemu nawróceniu na łono kościoła zbłąkanych owieczek.

Oto moja mowa improwizowana.

— Ach! (tu aby rozczulić słuchaczy zacząłem kaszlać) — ach! (tu aby namyślić się daléj, zacząłem po raz drugi kaszlać) — ach! (to ach dodałem pomny że omne trinum...) ileż to chwil przemija ludziom bezużytecznie! To będzie temat mojéj do was mowy!

Teraz tyle mistrzowsko powiedziawszy, odpocząłem chwilkę.

*
* *

Kochani czytelnicy i prześliczne czytelniczki! ja autor niniejszego, t. j. ten, który to piszę, że to coście dotąd przeczytali, było zapisane w notatkach mego przyjaciela; kartki porozcinane a pisane bez ciągu, pozbierałem, pozestawiałem i do sensu dobrałem, a potém przepisałem i wam do druku podaję — a o tém was ostrzegam, żebyście nie myśleli, że to ja — wasz przyjaciel i sługa — rzeczy rozerwane i z tak długiemi wstępami piszę — co więc, jak wam donoszę, bynajmniéj nie jest. Na drugiéj z zapisanych kartek były takie popisane rzeczy.

*
* *

Ileż to chwil przemija ludziom bezużytecznie! powtórzyłem — a takiemi są wszystkie poświęcone — balom, wieczorom, wyścigom konnym lub — powieściom. Właśnie też chcę wam powiastkę przedłożyć. Jeśli wam się niepodoba, nieżałujcie czasu straconego na słuchaniu — bo zaprawdę, równie byłby stracony, choćby wam się podobała. Moja powieść niebędzie sentymentalna — choć łez w niéj morze, nie będzie fantastyczna choć się bez duchów niepotrafi obejść, — moja powieść będzie w urywkach — choć jedność i ciąg są jéj zaletami! lecz do rzeczy! — dość pochwał... wy sami je oddacie. — Do rzeczy, bo już czuję natchnienia dreszcz!

Biedny jest żywot chłopa polskiego. Od rana do wieczora ciężka praca poczciwości, całego życia nagrodą. — A to życie tak bolesne, tak nieprzebrane w cierpieniach, — a tak poczciwe! Stosunek społeczny przygniata całą kastę — więcéj najliczniejszą część narodu — i podczas, gdy z krwie i życia chłopów mniejszość społeczności panowie — żyją, swobodnie, w dostatkach, część najliczniejsza a najcnotliwsza narodu jęczy w niekończącéj się nędzy. Ztąd umysł polskiego chłopa, bywa szczególniéj zobojętniony. Miłość kobiet, miłość dzieci, słowem stosunek rodzinny częstokroć, stępiałym jest nie przeto, żeby chłop polski niemiał być cnotliwszym, lepszym i bardziéj miłością braterską tchnący od pana, lecz wprost — że o głodzie ciężko wzdychać; a gdy się wie, że dziecięciu nie ma co dać jeść, że ono będzie gorzéj niż roboczém zwierzem pana, — gdy się wie, że dziecka życie będzie pasmem samych cierpień i niedoli, — to życia mu się niemoże życzyć drugiego; a ta wiadomość tak serce kraje, że już i łzy uronić i pokochać rzewnie dziecka z rozpaczy niemożna. To też panowie jedno w Polsce dobrodziejstwo dla chłopów czynią — przedają im wódkę! to wcale nie ironia! proszę! nieśmiejcie się — to wcale nie jest ironia — dać skazanemu na wieczne cierpienie, trucizny, która go powoli zabije — niejestże to dobrodziejstwem? — ale wśród wielu złych są też i dobrzy. Był kiedyś i jezuita poczciwy jak mówią, tego wprawdzie niezdarzyło mi się widzieć, ale widziałem kilku poczciwych wiejskich gospodarzy. Mam na myśli między innymi pana Tomasza. Poczciwy to szlachcic. Kilka wiosek, gorzelnia i jakieś tam przecudne owce czyniły mu dochodu niemało. Pan Tomasz caluteńki dzień na koniu; nie z chartami jednak — bynajmniéj — na koniu, by objeżdżać gospodarstwo. Deszcz czy nie, zamieć, morszczyzna, pan Tomasz zawsze na bułanku przy jakiéjś robocie, a nawet w zimie jeździł od wioski do wioski, aby dojrzeć młócki. W niedzielę do kościoła, a po kościele do sąsiadów w odwiedziny, — w piątek i sobotę suszyć — a ubiór staroświecki, szaty wytarte, więc też trzosik pełen i coraz pełniejszy był u pana Tomasza. Pan Tomasz miał córkę... Wiecie, że bez córek powiastka obejść się nie może — ale nie bójcie się, do rzeczy o miłości jeszcze bardzo daleko. Widzę, jak wam serduszka pukają, piękne słuchaczki — wy młode róże i lilije — ale jeszcze nie wspomnę o miłości. Nota bene proszę uważać dobrze, że ja to mówiłem, więc niech tego do siebie szanowne czytelniczki nie biorą — ja to mówiłem na owym wieczorze do moich słuchaczek. — Owoż tedy Zosia była... była... była... aniołem! Po co określeń! domyślacie się, że musiała być aniołem — i przeczuwacie, co to jest Zosia-Anioł! jest to... jest to... istnie osóbka — taka jak Ty Pani, która to czytasz!... Znasz siebie, wiesz więc, co to jest aniołek! jaka postać cudna!... Widzieliście kiedy postać tak spokojną, jako zwierciadło cichéj jeziora przestrzeni, postać dziewiczą, jako pączek rozbłyskującego fijołka, wonną i uroczą — wykwitającą na skrzydłach ze zorz różanym brzaskiem rozlanych po niebios błękicie, jeszcze szarawym od pierzchających cieni nocy, jeszcze bielejącym od drżących na nim gwiazd blasku, co jako lilije czyste, niewinne, rozsiane są w przestrzeni i migają nad zemdloną snem ziemią — i ssą z niéj woń kwiatów polnych! Widzieliście kiedy taką postać? Jeśli nie! biedni — nie pojmiecie, jaką była Zosia.

Mięszkałem w sąsiedztwie — bywałem często u pana Tomasza, rzadko go kiedy zastawałem; pani Tomaszowa bawiła się ze mną przewybornie, bo w pół godzinki po moim przyjeździe zawsze usnęła — a wtenczas...! I cóż? — nie myślcie nic złego! Broń was Boże! — wtenczas ja siadłem bliżéj Zosi, wzdychałem, rozprawiałem o literaturze, astronomii, filozofii, muzyce, poezyi. Byłem żyjącą recenzyą, byłem uosobionym Dziennikiem literackim. Ona słuchała; ona, pełna dowcipu i myśli dziarskiéj, przerzucała uwagi. Ach! byłyż to błogie chwile! a gdym miał odjeżdżać, siadła do fortepianu! — księżyc zawisł nad ziemią i pędził wśród przelotnych chmurek to oblicze radosne, śmiejące, to ponury i omdlewający wzrok rzucając na nas — a ona grała, grała — ale jak? Oto jak ty pani, co czytasz moje wspomnienia... Matka się przebudzała — jam się żegnał, odjeżdżał.

Nazajutrz znowu przybywałem i tak codzień powtarzał się ważny ustęp z sielankowego życia wiejskiego; — kochałem się!...

Dziś już się nie kocham... Jest to stan okropny, być zimnym jako kamień, zobojętniałym na wszystko; być jako popiół, w którym już wygasła ostatnia iskra życia, ostatni uniesień i zapału płomyk!

— Młodości moja! ty wiosno — złudzeń, uroków, uniesień! — Młodości! ty rzeko wzburzona, w której każda kropla kipi i wre; — młodości, gdzież jesteś!?

Ach! kochałem — żyłem — szalałem! — teraz to wszystko minęło, minęło jako sen ułudny — jestem stary, — zimny, ostygła pierś, krew ścina się w lód — a jeszcze włosy nie posiwiały, i od urodzenia mojego pół wieku nieusypało się z klepsydry wieczności. Ach biada!... być trupem wśród żyjących, mieć za serce — kawał lodu.

Kochałem! żyłem! szalałem — jak to wzrok pałał na myśl każdą! jak to zmienne serce biło, — jak to na obliczu wybłyskały namiętności coraz żywsze, coraz nowsze, jak to się na życie przez tęczowych uroków złudzenia patrzało, — jak to wszystko, wszystko radośnie grało mi w świecie, i jak to wszystko, wszystko kochałem, i konika polnego i każdego człowieka — i trawkę którąm gniótł stopą — i te gwiazdy niebios dalekich, jak to życie pałało w sercu, w myśli — w duchu! a teraz — o biada!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kobieta i Rozsądek.

(Ciąg dalszy.)

Szczytne to zapewne porównanie, gdy porównamy niewiasty z gwiazdami! W nocy żywota naszego, one jedne połyskują promieńmi błogiego światła. Wśród mozołów, cierpień, utrapień i pracy, co nas jakby ciemnościami na morzu życia ogarniają, matka przyświeca i wabi łagodnym blaskiem rodzinie, żona mężowi, młodzianowi kochanka. Lecz między témi niezliczonemi gwiazdami, jedne są gwiazdy stałe, jak uczą astronomowie, a drugie planety czyli gwiazdy zmienne, błąkające, — a do rzędu tych ostatnich policzono Wenerę. — Jak gwiazda jest światłem tylko dla ziemi, tak kobieta miłością tylko dla męża. Nie ma wznioślejszego i świętszego zarazem przeznaczenia dla kobiety nad miłość. Ona jest jéj uosobieniem. Biada niewieście, gdy to najwyższe swoje stanowisko opuszcza, zkąd szle światu blask, a sobie ozdobę wszystką, a zstępuje do próżności i koketeryi. Z gwiazdy stałéj zamienia się w planetę, ze słońca w ziemię, z ciała świecącego własnemi promieńmi światła do ciała ciemnego, świecącego tylko pożyczaném światłem; z niedoścignionych teleskopem wysokości, schodzi do warsztw niższych w przestrzeni świata, gdzie oko szkłem uzbrojone rozpoznaje w niém wszystko, aż do gór i nizin.

Nie ma większéj ironii życia, jak ironia miłości. Jest to szydzenie z samego stwórcy, który świat i człowieka z miłości stworzył, szydzenie z najdroższych uczuć serca, bez których życie nasze nie warteby było naboju prochu. Wszakże co czyni Angelika w poemacie Ariosta? Oto dwóch młodych rycerzy utopiło w niéj serca swoje. Żaden bez niéj żyć nie może, każdemu zdaje się, że jest kochany, więc bój na śmierć życie ma rozstrzygnąć, komu z dwóch żyjących, ma się dostać skarb szczęścia jedynego na ziemi. Już są na placu boju, już składają kopie, uderzają z zapałem kochanków, ranią się, krew się leje, — a Angelika czy łzy leje przynajmniéj, — śmieje się z głupców i zbywa się natrętów ucieczką. Iluż to takich nienaliczysz i dziś jeszcze szczęśliwych! Sądzisz, że ci wzrok, z którego płomienie miłości biją, wszystko wypowiada, a niewiesz, że w tym samym czasie, rączka pod stołem obcą rękę ściska, albo nóżka mimowolnie znak poufały trzeciemu daje. Kobieta co popadła słabości tego rodzaju, zamienia ją w sztukę, i nazywa to zdobyczą, podbojem — kiedy nie kraju ni narodu, — to przynajmniéj tych, co na zdobywców ziemi stworzeni.

Chęć takich zdobyczy staje się passyą, równie nienasyconą, jak była w Alexandrze wielkim, gdy szedł zdobywać świat cały. Kleopatra uwiódłszy już syna Pompejuszowego, i Cezara i Antonina, a jeszcze czterdziestoletnie sieci swoje zarzuciła na młodego Oktawijana, i nie tak dla klęski poniesionéj pod Akcyum, jak dla klęski poniesionéj na wdziękach swoich, przypięła żmiję zabójczą do piersi — niegdyś wdziękami czarujących.

Ale jeżeli historya zdarła maskę z królowéj Egiptu, i jéj kobiecość zbyt głośnie na szwank puszczona, postrzegamy między reputacyami kobiecémi Laurę, ową sławioną Laurę w sonetach Petrarki. Jedenaście lat nadaremnie żebrał u niéj poeta wzajemności. Czemu? bo raz po raz to słówko, to spojrzenie z namysłu rzucone, budziło w rozkochanym otuchę. I po jedenastu leciech zwodzenia jeszcze tego fortelu używa, i trafiając go na drodze z kościoła rzuca mu uśmiech tkliwy, i zapytanie tkliwsze jeszcze, czy tak znużyła cię miłość do mnie? — A on uszczęśliwiony odrzecze:

Jo non fu d'amar voi lassato unquando
Madonna ne sarò mentre ch'iò viva!

Ulega wreszcie kobieta zdobyczy tylko chciwa, kiedy już jeden krzyżyk lat do drugiego się zlicza, kiedy z krzaku róży listki kwiatu jedne po drugich opadają, i gotowe same zostać kolce; kiedy jesień życia wdzięki, — owe oręże wielosieczne tępi i zmiata. Tak chorągiewka na wieżycy dopiero wtenczas z wiatrem na wszystkie strony obracać się przestaje, kiedy rdzą zaszła.

A jednak kto czytał konfessye Jakóba Russa, wie jaki los spotkał Julią. Pogarda jest straszny wyrok zawieszony nad głową tych, co z miłości robiły ironią. Wyrok niechybny jak fatum, zimny jak grób, bo wyrok śmierci przez wypicie trucizny, którą poda w kubku opinia publiczna. — Rozsądna kobieta połączy zatém stałość w zasadach, i stałość w miłości, a zyszce szacunek w nagrodę. Płochość, zmienność, zdobycze wdzięków będą nierozsądku znamionami.

Ściśle ze stałością połączona wstydliwość, największy powab kobiecy. Jest to pyłek delikatny na nabranych soczystą słodyczą winogronach, który ściera się natychmiast, gdy go ręką dotkniesz, i jest jakby obrzaskiem eterycznym na owocu, co z łona wyszedł natury, i dojrzał na latorośli, niczém nieskalany. Jest to zielona obsłona, w której się tuli pąkówie kwiatu, i wtenczas jeszcze nie opada, gdy się kwiat w pełni wdzięków już rozwinął i w owoc zawiązał. Już u starożytnych głęboko było wdrażone uczucie wstydliwości, i były osobne w domach mieszkania kobiece, ginajkaja zwane, dokąd się żaden obcy nie mógł udawać, i kobiety tam prawie klasztorne prowadziły życie. Dotąd na wschodzie niewieście bez zasłony na twarzy wychodzić nie wolno, ani z okien niezaluzowanych patrzeć na ulicę. Pliniusz zaś powiada, że nawet dla tego i po śmierci jeszcze kobiety przepływają rzekę przedzielającą doczesność i wieczność twarzą do wody, mężczyzni zaś w znak płyną.

Nie rozumiemy tu wszakże owéj wstydliwości urojonéj, na którą umarła Marya xiężna Burgundska, która skaleczona na polowaniu nie pozwoliła się operować lekarzowi, albo dla któréj pewna panienka nie chciała sobie dać krwi puścić z nogi, chyba przez pończochę. Lecz rozumiemy wstydliwość ugruntowaną w młodym wieku na niewinności obyczajów, a w dalszym na zasadach cnoty i obowiązków. Wstydliwość bez affektacyi, choć pochodzącą z ciągłéj baczności na siebie. Wstydliwość wreszcie rozsądną i naturalną razem, bo ugruntowaną i na pojęciu złego i dobrego, i na sercu czystém i nieskażoném. Gdzie ta podwójna będzie podstawa, tam nie dojrzysz ani gestu, ani wyrazu, ani spojrzenia, któryby zdradzał ziemskie płomienie, i takie obudzał. Raczéj dostrzeżesz naiwność w mowie świadczącą o niewinności serca, zobaczysz rzuty i ruchy śmiałe a przecie niewinne, blask w oku żywy, a przecie nie pożądliwy. Prawdzi się tu wszakże przysłowie narodowe, że co w sercu, to i w myśli, to i na języku, a dodać można, to i w oczach, i w każdém poruszeniu.

Nie ma ohydniejszego wyrazu dla kobiety jak bezwstydność. Gdy ten wyraz wymówisz zda się jakbyś odarł najcudniejsze stworzenie Boże, ze szaty pierworodnéj; jak gdybyś ujrzał Ewę, w chwili wypędzenia jéj z raju, pozbawioną szaty niewinności. Nie trzeba na to ostatecznego wyzucia się z godności niewieściéj. Tu więcéj, niż gdziekolwiek indziéj, możnaby zgodzić się na definicyą o występku, którą dał Cicero, że wina jest przejście za granice, któremi się cnota otacza, jak daleko zaś za tę granicę przejdziesz, jedno jest.

Uczucie przystojności jest tak tkliwe, że się obraża w równéj mierze myślą, z oczu lub ruchu przebijającą, jak myślą w słowo lub uczynek zamienioną. Od jednego i od drugiego odwraca oczy, i twarz niewinną rumieni.

Z niestałością na odwrót najściśléj połączona próżność o którą już matkę Ewę obwiniono, i cały ród mężów powstał na nią, że siebie i nas wszystkich przez próżność swoją stania się podobną Stwórcy, pozbawiła rajskiego życia. Odtąd wadę tę u kobiet uważają za ich grzech pierworodny, z tą różnicą, że się żadnym chrztem nie gładzi. Na tę wędkę na którą wąż rodzicielkę rodzaju ludzkiego ułowił, łowi dotąd świat męski, potomstwo jéj gładkolice. Śpiewka narodowa: „moja mama był tu żołnierz, miał z granatem żółty kołnierz,“ jest jak świat stara, i wszędzie bożek miłości najprędzéj na szlifach usiadał, nie tyle dla męstwa, jak dla stroju i błyskotek rycerzy Marsowych.

Ubiory, stroje, mody, kosztowności porozwieszane nie tylko w buduarach i serwantkach, ale i na sobie; obrzucenie włosów, uszu, szyi, palcy i naramienników różnego rodzaju świecitkami ze złota, srebra, drogich kamieni, a i z bronzu i ze szkła nawet, jest rozkoszą i żywiołém kobiecym. I w tym względzie w niczém się nie różnią nasze ucywilizowane piękne mieszkanki Europy, od z czernionych mieszkanek wysp morza spokojnego barbarzynkami zwanych. Jak za Kolumba i Korteza czasów zyskiwano sobie dzikich Amerykanów za szkiełka lusterka i błyskotki, tak i dziś nie naprożno kusić się będziesz o względy pani serca twego, ofiarując jéj naramienniczkę nasznurowaną kamykami z Herkulanum i Pompei. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

ROZMAITOŚCI.

Skąpiec i dentysta. Jeden z czterech najbogatszych właścicieli gruntowych we Francyi, markiz A., postradał większą część zębów swoich i pozostałe niewiele były warte, dla tego chciał aby mu jaki zdatny dentysta nowe powprawiał zęby. Nie chcąc jednak wiele zapłacić, przybrał na siebie bardzo zniszczony ubiór i udał się za biednego polskiego emigranta. Dentysta żądał dla tego mierne wynagrodzenie i przyrzekł mu za trzy dni resztę pinków powyrywać. Markiz ucieszony, iż mu się fortel udał, oddalił się i nieuważał, iż z obcą zetknął się osobą na wschodach. Ta zaś poznała go i oświadczyła dentyście, jakiego miał przed sobą Polaka. Po trzech dniach stawił się nasz Markiz na czas oznaczony. Dentysta powyrywał szczątki zębów i rzekł, zanim wziął się do wprawiania nowych: „Polakowi wprawię je za 200 franków, które zapłaci w czasie dogodnym jemu, markiz A., zapłacić za to musi 3000 franków.“ Markiz skoczył jakby ubodzony iskrą elektryczną: „pan niemożesz zaprzeczyć, że jesteś markizem A., rzekł daléj dentysta, bez moich zębów jeść niemożesz, ani nawet dobrze wymawiać.“ Markiz struchlał i groził sądem; dentysta nie gniewał się i dodał tylko, że wolno markizowi dać lub nie dać 3000 franków za zęby. Markiz zaczął się targować, dawał 1000, potém 2000 franków, ale dentysta był niewzruszony i sądził, że żart taki warto puścić wobieg choć ze stratą 3000 franków. Markiz ustąpił i przyrzekł zapłacić 3000 fr. Dotrzymał słowa, a dentysta na kwicie napisał: „panie markizie, — odbieram w téj chwili 3000 fr. któreś mi był winien za wczorajszą operacyą i zatrzymuję z nich 200 fr jako gotowe wydatki, resztę przesyłam do komitetu polskiego, aby ten w imieniu pańskiém, rozdał resztę pomiędzy biednych polskich emigrantów.

Meyerbeer przybył do Paryża i zapewne przedstawi jednę z swych nowych oper, „Afrykankę“ albo „Proroka.“

Zwracamy uwagę posiadających ogrody na nowy rodzaj melonów, który zaprowadzono w tym roku w Anglii. Siemię sprowadzili Anglicy z Afghanistanu, którzy tam staczali boje. Nowe te melony, bardzo wielkie, soczyste i słodkie, przewyższają wszystkie podobne gatunki. Także Sir Alexander Burnes w swojém sprawozdaniu z podróży swéj w Kabulu i t. d. uważa owe melony za najpiękniejszy owoc wschodu.

Największa winna macica znajduje się w ogrodzie windsorskim w Anglii, ma lat 40 i okrywa powierzchnią na 26 stóp szerokości i 130 st. wysokości. W tym roku ma 2350 winogron, każde winogrono waży w przecięciu funt jeden.

Sławny profesor Moser w Królewcu odkrył, iż znajduje się ciemne i niewidzialne światło, dość mocny płyn światła tam, gdzie dla oka ludzkiego zupełna panuje ciemność. Niewidzialne to światło od wieków działające, niebyło dotąd przez nikogo uważane. Obrazy rysują się same na szkle, pod którém są umieszczone równie jak części zegarka wewnętrzne na otaczającém je wieku. Dwa ciała blisko siebie leżące rysują się na sobie wzajemnie. Oto są skutki owego ciemnego światła, i na téj własności polega odkrycie sławne Daguera. Obacz zresztą samo dzieło Mosera pod tyt.: *„Ueber das Licht von Ludwig Moser. Koenigsberg*, 1843.“

Zajmującém jest niedawno wyszłe dziełko o cyganach przez Heissera w Królewcu. W niém podaje między innemi jako rzecz znaną, iż księżna Gagarinowa i hrabina Tołstoj były cygankami z urodzenia. Między cygankami, a szczególniéj w Rossyi znaleść można najlepsze śpiewaczki. Taglioni uczyła się cygańskich zręczności u jednéj bandy cygańskiéj, która w pobliżu Moskwy bawiła, i wystąpiła z prawdziwą gracyą w balecie pod nazwiskiem „cyganka,“ w roku 1838. Nie może się ona dosyć nachwalić wdzięków przyrodzonych, taktu uczucia i nieprzyuczonéj lubości tych młodych dziewcząt cygańskich. Katalani z swéj strony podczas pobytu w Moskwie tak została przez śpiew jednéj cyganki oczarowaną, iż darowała jéj szal nadzwyczaj kosztowny, który otrzymała od Papieża, mówiąc do niéj w te słowa: „szal ten przeznaczony został dla niezwyciężonéj śpiewaczki, od chwili jak ciebie słyszałam, szal ten do mnie nie może należeć.“ Sławne wróżki między niemi ustały, a to z téj przyczyny, jak powiadają cyganie, „iż ludzie w to już nie wierzą.“

Jakkolwiek damy nasze porą zimową wiele tańczą, nie może przecie to pójść w porównanie z tańcami u ludów dzikich północnéj Ameryki. Dzicy ci ludzie tańczą przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich; tańczą na obchód zawarcia pokoju; tańczą przy przyjściu na świat dziecięcia i śmierci męża; tańczą przyjmując u siebie cudzoziemca, idąc na polowanie i powracając z niego. Tańce te ułożone podług pewnych prawideł, odznaczają się rozmaitością, najdziwaczniejszym jest taniec bawoli. Tańcujący kładą na głowy swe wysuszone brodate głowy bawołów; z niemi skaczą w takt i wydają najokropniejsze krzyki. Jeżeli tanecznik który zmęczył się, pada na ręce i nogi, towarzysz jego strzela strzałą do niego stępioną, a ten udaje zabitego; potém biorą

go na barki i wynoszą z koła bawiących. Taniec ten trwa przez całe dnie i noce bez żadnéj przerwy, aż nakoniec jeden ostatni i niezwyciężony pozostanie.

MODY.

Paryż, dnia 2. Listopada 1843.

Jesienne kapelusze robią z atłasu lub grosdetouru, po większéj części różowo lub niebiesko i biało lśniące. Zdobią je piórem w kolorze kapelusza. Wiele widzieliśmy kapeluszy w kolorach pięknych niebieskim lub zielonym, zdobnych ptakiem rajskim, marabutem, w kolorze kapelusza.

Nadzwyczaj podobają się hafty: kanezou, kołnierzyki i czepki są niemi osute, równie jak suknie organtynowe a mianowicie falbany u nich, które na nich oszywają. Haft punkcikami oznaczający się uchodzi za modny. Punkciki te są już większe już mniejsze, zawsze prawie w wielkości ziarnka kawy. I chustki kieszonkowe podobnie haftują i na nich bywają punkciki kolorowe.

Strój na głowę zwany Victoria, złożony jest z wstążek gazowych w kolorze różowym, w które kłosy zielono oprawne wplatają.

Zawsze jeszcze noszą mantylle szalikowe, płaszcze dopiero zimowe zastąpią ich miejsce.

Już teraz zaczynają zgromadzać się raz poraz na towarzystwa wieczorne. Tam najczęściéj znachodzą się, suknie z popeliny, z stanikiem wyciętym à la vierge i z krótkiemi rękawami, z pod których przedrękawki z bardzo cieńkiego muślinu wyglądają. Strój głowy zazwyczaj bywa z barbek koronkowych, tworzących w pewnym względzie wianek i po bokach spadający, gdzie go małe kwiaty, w pąkówiu diamencikami posiane utrzymują.

Nasze spostrzeżenie, że damy paryskie powiększéj części w ubiorach swoich prostotą się oznaczają, widzimy stwierdzone we włoskiéj operze, która dawniéj największym jaśniała przepychem w toaletach, a teraz odznacza się strojną prostotą w ubiorach, np. szlafroczkami w jednym kolorze, z jedwabiu, pięknego merinosu lub wełnomuślinu.

Dla mężczyzn. Paletoty, teraz twines lub tweeds nazywane coraz więcej się upowszechniają.

Frak na półstrój bywa z przodu małoco wycięty i ma szerokie poły; frak przeciwnie na uroczystsze zgromadzenia jest więcéj i to okrągło wycięty, tak iż poły u niego są węższe. Kołnierze u nich szerokie i na ramiona opadające.

Krawaty zazwyczaj są czarne. Kamizelki długie i z kołnierzem szalikowym, w kratkę więcéj aniżeli pasiaste upowszechnione.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut w ciemnym kolorze, z szerokiemi aksamitnemi wyłogami. Kieszenie na bokach i piersi. Dwa rzędy guzików.
2. Długi wierzchni surdut, watowany, szerokie wyłogi. Frak z szerokiemi połami, szerokim kołnierzem i na dwa rzędy guziki.
3. Ściągana kapotka z białemi różami i oszyta tulem. Suknia w kratkę, z stanikiem podwójnym, z których wyższéj jest wyłożony; podobna powłoka, wierzchnia w łuk zebrana. Obcisłe rękawy. Przepaska z długich wstążek.
4. Kapelusz atłasowy zdobny bufkami wstążek i koronkową zasłoną. Suknia w pasiaste wzory, na niéj opończa z czarnego kaszemiru, z otwartym stanikiem, obłożona aksamitem. Półdługie rękawy greckie, z podrękawami białemi, w bufki ściąganemi.
5. Czepek na rano z haftowanego batystu. Szlafroczek różowy. Gładki u niego stanik, okryty kołnierzem w kształcie chustki, z tłoczonego aksamitu. Półdługie greckie rękawy, z wyłogami aksamitnemi, i podrękawami batystowemi.

Wezwanie do Księgarzy polskich!

Ponieważ brak wiadomości o wyszłych dziełach polskich wywiera niezmiernie szkodliwy wpływ, równie na rozwijanie się literatury, jak na handel księgarski, przeto wzywamy wszystkich Księgarzy, aby nam donieśli, co każdy wydał, lub od autorów wziął w debit w ciągu roku 1843., a później donosili częściéj, wyrażając zawsze liczbę arkuszy, cenę dzieł i nakładcę, iżbyśmy mogli raz po raz ogłosić kompletny spis dzieł nowych. Rozumie się, że tylko dzieła, które przeszły cenzurę właściwych rządów, podawane być mogą. Upraszamy zarazem Redaktorów polskich, aby niniejsze wezwanie nasze starali się rozgłosić przez pisma swoje. — Poznań, dnia 8. Listopada 1843.

N. Kamieński i Spółka.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*